

**Georgij Efron<sup>1</sup>. Pewnego razu jesienią. Opowiadanie<sup>2</sup>.**  
**Przekład: Grzegorz Ojcewicz**

**Georgiy Efron. Sometime in the fall. A short story.**  
**Translated by Grzegorz Ojcewicz**

**1**

Do parku wchodziło się przez otwartą żeliwną bramę. W budce na krześle siedział stróż i czytał gazetę.

Na placu przed parkiem handlarka lodami zasypiała nad swym straganem. Z restauracji nie dochodził żaden dźwięk i nawet samochody jechały jakoś ociężale w ten popołudniowy czas wrześnieowego dnia.

Ten dzień wyglądał prawdziwie po parysku; pogoda nie była ani zimna, ani gorąca – utrzymywała rozumną neutralność. W takie dni przyjemnie jest spacerować po paryskich przedmieściach, po tak zwanej „banlieue<sup>3</sup>”.

W Meudon mieszkali moi znajomi i rano wyjechałem z Paryża po-ciągim elektrycznym, zamierzając zejść do nich i spędzić trochę czasu w ich towarzystwie. Kiedy przyjechałem, okazało się, że moi znajomi z Meudon właśnie tego ranka pojechali do Paryża i mój plan upadł.

Wracać do Paryża nie chciało mi się; na załatwianie spraw czas mimo wszystko był już stracony, więc zdecydowałem się pójść pospacerować, jak się to mówi, dokąd oczy poniosą. Wspiąłem się po stromo biegnącej ulicy i zobaczyłem restauracyjkę na rogu placu, od którego prowadzi droga do Bellevue. Zjadłszy obiad, poszedłem do parku w Meudon.

Park jest podzielony na kondygnacje. Pierwsza z nich, na której rozmieszczono zielone łączki i baseny z fontannami, łączy się z meudońskim lasem, w którym niegdyś polował Ludwik XIV. Druga kondygnacja, na którą można się dostać dzięki szerokim, w wersalskim stylu kamiennym schodom, prawie całkowicie jest zajęta przez dwie aleje obsadzone kasztanowymi drzewami i tworzącymi nad nimi cieniste sklepienie. Idąc na prawo po odbijających dźwięki żelaznych schodach w głąb parku, wchodzi się do innego lasu, jak w Clamart.

Było cicho. W powietrzu miarowo brzęczał samolot. Minąwszy dawne bretońskie menhiry – ogromne kamienie, na które w dzieciństwie lubiłem wlazić, poszedłem aleją wzdłuż

---

<sup>1</sup> Georgij Efron (1925–1944) to jedyny syn Mariny Cwietajewej (1892–1944). Pomimo bardzo krótkiego życia pozostawił po sobie kilkadziesiąt tekstów literackich wierszem i prozą, a także kilka tłumaczeń autorów zachodnich. Jego dorobek pisarski nie jest w Polsce zupełnie znany. Prezentowany tutaj tekst jest częścią książki: G. Efron, 2023, *Rododendron na Alasce. Twórczość literacka 1941–1944*, wstęp J. Brzykcy, przekł. z ros. i oprac. nauk. G. Ojcewicz, Szczytno, s. 179–190.

<sup>2</sup> Źródło tłumaczenia: Г. Эфрон, *Однажды осенью. Рассказ*, [в:] Г. Эфрон, 2018, *Записки парижанина. Дневники, письма, литературные опыты 1941–1944 годов. С рисунками автора (публикуются впервые)*, издание подготовили Е.Б. Коркина, В.К. Лосская, А.И. Попова. Москва, с. 481–492.

<sup>3</sup> Z fr. banlieue — przedmieście.

kamiennej balustrady. Lubię park właśnie taki, jaki bywa jesienią, kiedy opadają liście z drzew i można spokojnie wdychać wilgotny zapach traw i ziemi. Niekiedy przemknie jakaś sylwetka i wydaje mi się, że oto całe życie swoje mógłbym tak spędzić tutaj, bez trosk i ciężarów, po prostu spacerując pod cieniem kasztanowców.

W parku nikogo nie było i tylko trafiające się niekiedy pod nogami niedopałki albo strzępki gazet pozwalały się domyślić, iż w ogóle ktoś tutaj przebywał.

Szedłem powoli, trzymając w jednej ręce kapelusz, a drugą wymachiwałem laską. O niczym nie myślałem, wchłaniałem w siebie tylko świeże, zdrowe powietrze i rozkoszowałem się ciszą.

Zachciało mi się zapalić. Nabiłem swoją fajkę wyśmienitym tytoniem – z Wirginii – i zorientowałem się, że zapalaki zostawiłem w domu.

Mój marzycielski nastrój natychmiast prysł. Co do czorta — pomyślałem – fajkę i tytoń wziąłem, a zapalaki zostawiłem na stole! Ale głupio! Siadłem na najbliższej ławce, założyłem nogę na nogę, splunąłem i zacząłem rozglądać się na strony w nadziei, że zobaczę kogoś, kto by palił. Ale park, wydawał się pusty i nikt nie się nie pojawiał.

Siedziałem, zwróciwszy się w stronę końca parku. Obejrzawszy się za siebie, z niezadowoleniem zauważyłem, że za mną, oparłszy się o balustradę, stał człowiek. Zawsze to nieprzyjemne zostać zaskoczonym w pewnym sensie znieca, a ten człowiek był tu prawdopodobnie od dawna. Czulem się obnażony; moja samotność okazała się fikcją.

## 2

Człowiek, zauważywszy, że go zobaczyłem, wyprostował się, i wtedy zauważyłem, że trzyma w ręku zapalonego papierosa. Migiem się podniosłem i powiedziałem:

– E, monsieur! Czy pozwoli Pan ognia.

Człowiek zbliżył do mojej fajki swojego papierosa. Zapaliłem i z rozkoszą puściłem kłęb pachnącego dymu. Nieznajomy się zmarszczył.

– Tfu! – powiedział.

Zdziwiłem się.

– Dlaczego? Przecież to wyśmienity tytoń z Wirginii!

– Tak, monsieur – odpowiedział mi. – Ale on nie śmierdzi.

Przez moment się pogubiłem: odpowiedź mnie zaskoczyła. Uważniej popatrzyłem na tego człowieka. Był średniego wzrostu, korpulentny, cały ubrany na czarno: czarny melonik i czarny krawat, czarny garnitur bez kamizelki i czarne półbuty. Twarz miał ogoloną, bladą i beznamiętną; zupełnie niczego nie wyrażała. Jasne oczy były na wpół przymknięte; małe usta wyraźnie cedziły słowa. Z wyglądu mógł mieć około czterdziestu, czterdziestu pięciu lat.

– To znaczy? – zapytałem. – Przecież to dobrze, że on, jak Pan mówi, nie śmierdzi!...

– Nie, to jest bardzo źle. Palę tylko po to, by mnie zemdliło od zapachu dymu. Inaczej nie mam żadnej przyjemności.

– A, to o to chodzi! – zauważyłem. – To... hm... jest ekscentryczne.

– To... jest normalne – powiedział człowiek w meloniku. – Tak samo normalne, jak to, że ten park jest nikczemny, tak, monsieur, nikczemny – dodał akcentując, chociaż twarz jego pozostawała jak dawniej beznamiętna.

Według mnie ten park, jeden z najpiękniejszych w paryskim rejonie, nie był nikczemny, wcale nie. Przypominał parki XVIII w., Wersal, Trianon.

– Skoro, jak Pan mówi, jest nikczemny, po co Pan tu spaceruje?

– Żeby przesiąknąć wstrętem, monsieur.

Pomyślałem — cóż, to też powód, żeby chodzić po parku.

Tymczasem paliliśmy i nastrój mój się poprawił. Mój rozmówca zainteresował mnie z powodu swoich niespodziewanych replik i powoli zaczęliśmy schodzić po schodach ku łączkom i fontanom.

Człowiek w meloniku, doprowadziwszy się oczywiście do mdłości, rzucił papierosa i przemówił:

– Widzi Pan, te oto ruiny — i wskazał na ruiny królewskiego pałacu. – Tu kiedyś mieszkali królowie i wybitne osoby; tu wydawano bale i puszczano fajerwerki; tu wrzały intrygi... A potem wszyscy umarli i nawet kości nie pozostały z tych wszystkich mądrych, błyskotliwych ludzi. Wszyscy zgnili, monsieur, i nikt nimi nie interesuje się więcej, tymi ludźmi w perukach i żabotach. Wszyscy zgnili do czorta; podobnie zgnijemy i my.

– To nie nowość, monsieur, całkiem nie nowość – powiedziałem. — Wszyscy to wiedzą, że zgnijemy i nie ma żadnych podstaw, aby to kiedyś nie nastąpiło. Wcześniej czy później będziemy trupami. Nic tu się nie da zrobić, niczego się nie zmieni, więc nie warto o tym mówić.

– Nie, monsieur, to niezupełnie tak. Brakuje Panu po prostu jasności myślenia. Pan, że się tak wyrażę, znajduje się w stanie nieświadomości. Nie rozumie Pan, że im bardziej będzie Pan żył „dobrze”, w tym większych mękach będzie Pan umierać. Przecież Pan jest potencjalnym trupem.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Bardzo proszę – odpowiedział człowiek w meloniku i kontynuował: – Pan już w połowie się rozłożył. Że się tak wyrażę, jest Pan jedną nogą w grobie. Nie jest Pan jeszcze całkowicie trupem raczej, ale nie jest Pan od tego daleki.

– Jednak...

– Niech Pan popatrzy na siebie dokładnie w lustro. Już Pan zaczyna więdnąć. Ma Pan trzydzieści lat, ale już ma Pan koronkę na zębie w zuchwie; brakuje dwóch zębów na górze. Koronka przykrywa martwy ząb. On umarł i zgnił. Dwa zęby umarły, zgniły i zostały usunięte. Pana zmarszczki — to bruzdy śmierci. Zastępują one sobą żywe ciało, które umarło i się rozplynęło. Cała powierzchnia Pańskiego ciała składa się ze zrogowaciałych martwych komórek: powie Panu o tym każdy podręcznik nauk przyrodniczych. A potem Pan sam cały zrogowacieje, zgnije i Pana pogrzebią z honorami, jeśli zajmuje Pan wybitną pozycję w społeczeństwie, albo wrzucą do wspólnego dołu, jeśli miał Pan nieszczęście znajdować się na dnie drabiny społecznej.

– Tak to jest, drogi monsieur – powiedziałem – ale wydaje mi się, że zapomina Pan o najistotniejszym: o życiu jako takim. Zapomina Pan o tym, że człowiek oddycha, cierpi, kocha... W większości wypadków umiera on, tylko wstępnie wykonawszy to wszystko. Ponieważ człowiek *żyje*<sup>4</sup>, najważniejsze — to życie. Jak Pan na *to* odpowie?

---

<sup>4</sup> Tu i dalej wyróżnienia w tym opowiadaniu pochodzą od Gieorgija Efrona.

– Wszystko tutaj, jak Panu mówiłem, sprowadza się do jasności myślenia. Panu tylko się wydaje, że Pan żyje. Skoro Pan mimo wszystko umrze, jest to równoznaczne z tym, że *już* Pan umarł. Jest Pan podobny do tego skazanego na śmierć, który zabawia się przed końcem grą w krykieta. Jedyne, co pewne, monsieur — to śmierć. I my tylko *wyobrażamy sobie* żywych, na dodatek bardzo źle i niefortunnie. Z każdym dniem coraz lepiej i lepiej rozumiem, że jedyny możliwy progres — to ten, który nastąpi po tym, jak wszyscy, co do jednego, ludzie umrą. To będzie prawdziwa cywilizacja — cywilizacja Ciszy.

### 3

Prawie przekonałem się o tym, że człowiek w meloniku należał do tego typu spokojnego półwariata, jaki dość często spotyka się wśród emerytowanych urzędników i świeckich rentierów, ale było mi ciekawie z tym człowiekiem i wciąż szedłem z nim wzdłuż basenów z zielonymi nimfami i łączkami z białymi Wenerami i Apollami.

– Ale mimo wszystko – powiedziałem, pragnąc chociaż trochę nakierować człowieka w meloniku na drogę prawdy — jest na świecie wiele wspaniałych i zajmujących rzeczy oraz zjawisk, dla których warto żyć i walczyć. To, być może, brzmi banalnie, lecz tak to wygląda...

– Co dokładnie ma Pan na myśli? – zapytał mój rozmówca.

– Oto co mam na myśli — odrzekłem. – Mówię o miłości i o przyrodzie, o obrazach i książkach... No, o wolnościach i wielkich ideach. I, wreszcie, o ludziach, monsieur, do nas podobnych.

– A-ach, Pan jest humanistą? – powiedział przeciągle człowiek w meloniku. – No, wtedy...

I machnął ręką w ten sposób, jak czynią to nauczyciele matematyki, którzy dostrzegą na czarnej tablicy ostateczny dowód... całko-witego braku zdolności matematycznych u chłopca-ucznia.

Nigdy nie uważałem się za humanistę, lecz warto było zobaczyć beznadziejnie pogardliwą minę mojego rozmówcy, żeby nagle się nim poczuć.

– Tak, monsieur, jestem humanistą – powiedziałem – i przyznaję, że nie widzę, co dokładnie może usprawiedliwić Pański, zapewne skrajnie negatywny, stosunek do tego kierunku ludzkich umysłów.

– Ot co – tak samo spokojnie odpowiedział człowiek w meloniku. – Tak więc mówi Pan o przyrodzie i o miłości, o wielkich ideach itd. Tak samo, jak w poprzednim pytaniu, zdradza Pan — proszę o wybaczenie, monsieur, — zdumiewającą niechęć do patrzenia faktom prosto w oczy. Pan zapewne żyje w świecie przyjemnych iluzji, monsieur, czego gratuluję. Ale to jest diabelnie niepoważne. Proszę łaskawie mi powiedzieć: czego jest warte *w rzeczy samej* to wszystko, co według Pańskiego zdania składa się na prawdziwie pozytywną stronę życia?

– Pan prawdopodobnie chce powiedzieć, że wszystko to jest niewiele warte?

– I jeszcze mniej – powiedział człowiek w meloniku. – Zresztą, będziemy rozmawiać zgodnie z porządkiem. Zaczniemy... od czego? Weźmy na przykład miłość. Wydaje się, że temat ważny, nieprawdaż?

– No tak – wymamrotałem.

– To głupstwo, drogi monsieur i nadaremnie, według mnie, o tej miłości tyle piszą i rozprawiają. Tym bardziej niczym takim, o co warto byłoby walczyć i czym trzeba byłoby się zachwycać, miłość nie jest.

– Można konkretniej?

Człowiek w meloniku niewzruszenie kontynuował:

– Miłość to przede wszystkim kobieta plus mężczyzna, tak więc właśnie o nich będziemy mówić. Oczywiście, niektórzy wolą mieć do czynienia z osobami tej samej płci, ale ponieważ takich ludzi jest bardzo mało, mówić o nich nie będziemy.

– Czy tylko z tego powodu nie wypada o nich mówić? – zapytałem. – Czy pojęcie moralności nie odgrywa tutaj decydującej roli?

– Moralność! – Człowiek w meloniku ironicznie uniósł równocześnie jedno ramię i jedną brew. – Żyję czterdzieści pięć lat na świecie, monsieur, ale proszę mi wierzyć, że do dzisiaj nie pojąłem, co to takiego moralność.

– Tym gorzej dla Pana – odparowałem.

– ...Albo tym lepiej. Nawet rozważając z Pańskiego moralnego punktu widzenia, nie uznałbym siebie tak... uczonym w tych kwestiach, aby stwierdzić, co dokładnie jest bardziej moralne: tracić zmysły z powodu baletnic o płaskich piersiach czy interesować się śliniacyami się młodzianami...

– Więc o mężczyźnie i kobiecie – kontynuował.

– Wysłuchamy teraz pikantnej dysertacji – uprzejmie przerwałem mu. Ale on nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Mówił z wielkim przekonaniem i zupełnie poważnie. Z przerażeniem pomyślałem, że to, być może, jest zupełnie normalny człowiek.

– Wszyscy jesteśmy tacy sami, monsieur — oczywiście w podstawowych cechach naszego istnienia. Wszyscy się rodzimy wśród mąk położnicy, wszyscy lubimy bawić się w dzieciństwie, a w młodości golimy brodę i wszyscy w końcu udajemy się do praojców. I wszyscy mamy do czynienia – tu człowiek w meloniku wieloznacznie podniósł palec wskazujący u prawej ręki – z kobietą. To zdumiewające, drogi monsieur, jak konsekwentnie człowiek powtarza gesty i czyny swoich przodków. A każdy myśli, że wszystko to robi inaczej, po nowemu. Weźmy mnie na przykład. Moja sentymentalno-miłosna biografia jest typowa i charakterystyczna dla 99% naszych – tu zmarszczył się – dobrych Francuzów. Mniej w wieku lat dziesięciu, a bywa, że i wcześniej, dzięki naszemu liberalnemu wychowaniu, wiemy już absolutnie wszystko, co można wiedzieć o miłości we wszystkich jej przejawach, od błękitnego romantycznego kwiatu do bata masochistów. W wieku około 14–15 lat po raz pierwszy odbywamy pielgrzymkę do tych domów, które przez naszych przodków wstydliwie były nazywane domami tolerancji (prawie domami humanitaryzmu!), po czym chwalimy się naszą męskością w kręgu kolegów, nie zważając na to, że niczego nie pamiętamy: wypite wino, wracając na zewnątrz tą samą drogą, którą szło na początku, całkowicie pozbawiło nas zdolności, by cokolwiek zachować w naszej pamięci.

Wydawać by się mogło, że powinniśmy stać się unikatowymi po tym wszystkim? – Nie, monsieur, wcale nie. Obfitość łatwych przygód, częste chodzenie na dancingi, wszystko to nie przeszkadza nam w wieku 25–30 żenić się, żenić się, żeby następnie gorzko żałować tego kroku, który zniszczył naszą wolność.

– Dlaczego jednak się żenimy? – zapytałem.

– Żenimy się dlatego, że sprzykrza się nam chodzić w brudnych skarpetkach i jeść w złych restauracyjkach. Chociaż w małżeństwie myślimy, że znaleźliśmy się pod urokiem Żannetty albo Simony, ale w nas, w rzeczy samej, odzywa się potrzeba komfortu, z wiekiem wciąż się nasilająca.

Pobrawszy się, oddajemy się najpierw rozkoszom miesiąca miodowego, potem urządzamy tak zwane „maleńkie gniazdo”, przy czym zaczynają się pierwsze starcia z krewnymi żony. Stopniowo wciągamy się w życie rodzinne; rodzą się dzieci, okresowo pojawiają się kłótnie

i pojednania, a pewnego wspaniałego dnia, do niedawna jeszcze tak młodzi, nagle zaczynamy wspominać przeszłość i pocieszać się za tarasami kawiarni. A jeszcze dobrze, monsieur, jeśli pańska żona jest pozbawiona temperamentu i nie zdradza pana z pańskim najlepszym przyjacielem, albo robi to tak ostrożnie, że nie pan niczego nie zauważa. W przeciwnym razie zaczyna pan poznawać męki zazdrości i żyje, że się tak wyrażę, na igłach.

I dobrze jeszcze, jeśli ma pan dobre relacje ze swoją teściową, która nie grozi panu odebraniem należącego do niej bufet w stylu Louis XV, zdobiącego pokój stołowy i podarowanego w dniu ślubu.

Taka jest rzeczywistość, monsieur. Takie jest życie. A o tym, co pan nazywa „miłością”, dowiedział się pan z książek, albo rzeczywiście kiedyś tak było, w tych czasach, gdy ludzie nie byli takimi drobnymi mieszczanami, jakimi są teraz, chociaż ja osobiście jestem skłonny przypuszczać, że ludzie zawsze byli tak samo źli jak ich epoka.

#### 4

Tymczasem już dawno wyszliśmy z parku i szliśmy meudońskim lasem. Przeszedłszy wzdłuż stawu, zaszliśmy do baru, który znajduje się na jego północnym brzegu. Drewniane stoły, drewniane ławki. W barze pusto: dzień powszedni, a i godzina nieodpowiednia.

Skupiliśmy swą uwagę na Sinzano<sup>5</sup> z lodem i przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu. Ptaki na drzewach świergotały anemicznie. Gospodarz czytał na głos gazety jakiejś dziewczynie w zielonym płaszczu — a myśmy siedzieli i pili. Potem człowiek w meloniku zamówił jajecznicę na słoninie, długo i z pogardą ją jadł, przekąsił serem brie i wypił pół butelki czerwonego wina.

Nabrawszy zapewne nowych sił, znów zapalił jeden ze swoich okropnych papierosów i z kłębow cuchnącego dymu zaczął się donosić jego spokojny, trochę skrzypiący głos.

– Kiedyś, w młodości, głodowałem. Działo się tak nie na skutek mojej inercji albo niechęci do pracy, lecz z powodu okoliczności społeczno-ekonomicznych, które ułożyły się dla mnie niekorzystnie. Wtedy, muszę Panu powiedzieć, monsieur, byłem studentem i mieszkałem w dzielnicy Łacińskiej. To, być może, było romantyczne, ale nie znam niczego bardziej smutnego i bardziej męczącego niż romantyka pustego żołądka. Żyłem marzeniem o dobrym obiedzie, a przecież nie mogę uważać siebie za człowieka ograniczonego. Lecz ten czas już minął, powiodło mi się i szybko przestałem rozumieć, jak mogłem rzeczywiście przywiązywać tak wielkie znaczenie do jedzenia. I od tamtej pory zacząłem sobą gardzić, monsieur. I nie tylko sobą. Zobaczyłem na swoim własnym przykładzie, jak wszystko jest

---

<sup>5</sup> Giorgij Efron podaje francuską fonetyczną postać włoskiego wermutu Cinzano.

prze-mijające i jak mało jest stałych wielkości w naszym życiu. Zobaczyłem, że życie niczego nas nie uczy; ono tylko przerzuca nas od Charybdy do Scylli! Usiłujemy objaśnić życie, wymyślamy w tym celu słowniki i kategorie, ramki i metody, ale cała tragedia polega na tym, że dla tego, kto ma bystre oko i ścisły rozum, nie może być niejasne, że życie stoi zawsze powyżej naszego pojmowania; ono zawsze burzy nasze rachunki i zapędza nas w ślepy zaułek. Jedyne rozumne wnioski, który można wyciągnąć, całkowicie trzeźwo rozpatrzywszy fazy, warunki ludzkiego życia, jego specyfikę, sprowadza się do tego, że lepiej w ogóle nie istnieć. Ale w nas od dnia narodzin jest uruchomiony instynkt władczo nakazujący nam żyć za wszelką cenę. I my wciąż się przemieszczamy po powierzchni naszej planety, podporządkowując się temu instynktowi.

– Mroczne, mroczne – powiedziałem. – A przyjaźń, monsieur? Co pan myśli o przyjaźni? Czyżby nigdy w życiu nie miał pan przyjaciół? Czyżby chciał mi pan powiedzieć, że przyjaźń nie istnieje?

Człowiek w meloniku strząchnął popiół ze swojego papierosa i powiedział:

– Czy ktokolwiek z nas z kimś się nie przyjaźnił, proszę mi powiedzieć? Ale kto z nas zdołał nie splamić tego uczucia? Kto z nas może się pochwalić, że jego uczucie ominęło wszystkie te potrzaski i pułapki, które przygotowało mu samo życie? Bo wszyscy się przyjaźniliśmy kiedyś, drogi monsieur, ale, niestety, przyjaźń nigdy nie bywa długowieczna, a tym bardziej — stała; w ostatecznym rachunku nieustannie doznaje ona niepowodzenia, bez względu na to, jak mocna była na początku. Egoizm, Zazdrość, Nuda — oto imiona trzech wrózek, niewidzialnych, ale niezmiennie obecnych przy narodzeniu każdej Przyjaźni i określających jej żalony koniec. Człowiek ponad wszystko i wszystkich ceni samego siebie; wcześniej czy później, przebudzony egoizm zderzy się z interesami przyjaciela na polu jakiejś działalności. Nie wybaczymy naszym przyjaciołom ich cech i osądzamy ich wady; rozczarowujemy się, gdyż nasi przyjaciele są ludźmi, jak i my, a nie lalkami, którymi można się bawić. Kobiety odczuwają mocniej od nas — oto dlaczego przyjaźń między kobietami zwykle tak szybko osiąga swoje logiczne zakończenie. Kobiety od szczerzej wylewności szybko przechodzą do otwartej wzajemnej nienawiści, podczas gdy my jeszcze długo udajemy przed naszymi przyjaciółmi — i przed samym sobą. Nawet najmocniejsza przyjaźń nie wytrzymuje próby czasu, monsieur, każda prawdziwa przyjaźń jest tyraniczna, a tyranów, jak wiadomo, się zrzuca. Człowiek ponadto jest zmienny. Pragnie odmiany, jak ciężarna kobieta „czegoś kwaśnego”. Starzy przyjaciele odpadają od nas niczym martwy strup skrzepniętej krwi — od wygojonej rany. Tak, monsieur, człowiek jest brudny, a przecież przyjaźń to najbardziej ludzkie uczucie.

## 5

Spojrzałem na zegarek. Pora wracać do Paryża.

– No cóż, ja już powinienem odbijać – powiedziałem.

– Dokąd? – zapytał człowiek w meloniku.

– Mieszkam w Paryżu – odpowiedziałem.

Okazało się, że mój rozmówca też jest paryżaninem i przyjechał do Meudon w jakichś sprawach. Zdecydowaliśmy razem wracać do stolicy.

Słońce zachodziło. Szliśmy lasem w kierunku Clamart. Miarowo szumiały korony drzew; leśna świeżość przekształcała się w wilgoć. Nasza ścieżka została usłana dywanem

z opadających liści. Przy-spieszyliśmy kroku i teraz szliśmy szybko, tylko od czasu do czasu wymieniając się krótkimi uwagami. Chcieliśmy dotrzeć do Clamart zanim zrobi się ciemno.

Wreszcie wyszliśmy na skraj lasu i poszliśmy od placu Marqui do placu merostwa; tam usiedliśmy na ławce pod szklanym daszkiem, czekając na autobus nr 89, który powinien był nas zawieźć pod bramę Wersalską wieczornego Paryża.

Przyznaję, że byłem w wyśmienitym nastroju. Tak czy inaczej pobylem za miastem przez cały dzień i tego wystarczyło, żeby tchnąć we mnie radość życia. Kocham Paryż, a krótka rozłąka z ukochaną istotą dodaje szczególnego uroku nowym objęciom. Tak więc wracałem do miasta lekko uwznioślony: wkrótce znów będę siedzieć w „Rotonde” i pić kawę z koniakiem oraz gapić się na przechodniów, zapisywać strzępy rozmów i wchłaniać w siebie to dziwne paryskie powietrze, do tego stopnia przesycone zapachem cywilizacji, że wydaje się sztuczne. Chociaż nie jestem stary, czułem się diabelnie odmłodzony; chciało mi się krzyknąć: „Hura, życie jest super!”.

Ale wtedy przemówił człowiek w meloniku.

– Tak więc kończy się jeszcze jeden dzień; faktycznie on już się skończył. Wszyscy wiemy, co powinniśmy zrobić wcześniej zanim ułożymy się do snu. I w tym zawiera się cała zgroza. Nic nie będzie niespodziewane, nic nie zmieni ustalonej z góry drogi; jeśli nawet przytrafi się nam coś niezwykłego, nie zdziwimy się, skoro już dawno oduczyliśmy się dziwić. Nasze umysły już dawno przyswoiły sobie sceptycyzm, który pozbawia nas w jakiejś mierze wyraźnego postrzegania i odczuwania rzeczywistości. Tak oto jeszcze jeden dzień się skończył i, podsumowując, jesteśmy zmuszeni zauważyć, że niczego nowego nam nie przyniósł, niczego nie wyjaśnił i niczego nie zmienił w naszym istnieniu. Tylko o jeden dzień zbliżyliśmy się do tego, jedynie istotnego momentu naszego bytu, kiedy nasi krewni odkrywają, że skonaliśmy i rzucają się, by grasować po pokojach w poszukiwaniu testamentu. O, wtedy będą prawdziwe przeżycia! O, wtedy nasi bliscy zrozumieją, co znaczy intensywnie żyć niczym bohaterowie Jules’a Verne’a i Boussenarda!...

– Czy ma Pan krewnych? – zapytałem uprzejmie.

– Nie, na szczęście wcześniej uwolniłem się od brzemienia rodziny, a po śmierci i tak nie mam czego zostawiać. Mój myślowy testament będzie się zawierać w krótkim liście zaadresowanym do całej ludzkości:

„Płodźcie i mnożcie się, moi przyjaciele. Wyrastajcie na silnych i szorstkich, poćcie się od ciężkiej pracy, wydzierajcie się w pieśniach i pijcie wino; umierajcie od ciosu nożem albo od następstw alkoholizmu.

Rośnijcie jako głupcy i chytry, przyswajacie arytmetykę oszustwa, zajmujcie się handlem, gromadźcie grosze, zakładajcie biura reklamo-we i firmy wyrobów żelaznych, umierajcie na apopleksję, w świętości i satysfakcji z przeżytego życia.

Inżynierowie, rośnijcie jako wytrwali i pilni! Budujcie mosty i zakłady do najbliższej wojny, która je zburzy, a potem zaczynajcie od nowa; chodźcie w niedziele do teatru i umierajcie w czci oraz miłości do nauki i progresu.

Rośnijcie jako mądrzy i zręczni, piszcie opowieści i wiersze przynajmniej po to, by o nich można było zapomnieć, spierajcie się o wielkie problemy literatury i filozofii, jeśli tylko wasz język jeszcze nie odpadł na skutek wszystkich waszych poprzednich sporów! I umierajcie z takim uczuciem, jakbyście wyłącznie wy byli geniuszami, a wszyscy pozostali — meszkami.



Kochajcie się i mnożcie, moi przyjaciele! Bo dopóki będzie istnieć nasza ziemia, dopóki nie pęknie ona albo się nie rozsypie w proch, raczej niczego lepiej zrobić nie zdołacie i nie będziecie mogli...

Pokój z wami — i czort z wami”.

– Oto jaki będzie mój testament. Myślę, że on nie zadowoli poszukiwaczy pośmiertnych skarbów.

Tymczasem nastąpiła już noc. Autobus podjechał bezszelestnie. Był przyjemnie pusty, a kiedy usiedliśmy przy szerokich oknach i po-czuliśmy, że jedziemy, wydało mi się, że autobus został podstawiony specjalnie dla nas i że dokonujemy pewnego obrzędu, przemieszczając się razem z tym pustym oświeconym pudełkiem przez ciemność, przecinając nocną przestrzeń.

Autobus dudnił na odbijającej dźwięki jezdni przedmieścia i podskakiwaliśmy na swoich siedzeniach; stopniowo zaczął się zapełniać pasażerami i wkrótce nie było już wolnych miejsc, a autobus jechał teraz wolniej.

Ale nagle wyteżył swą moc silnika i pomknął z całą siłą po szerokiej ulicy.

Wyjrzałem przez otwarte okno. Pachniało benzyną. Różowa łuna unosiła się nad czernią nocy, poprzekłuwanej mnóstwem świecących migoczących punktów. To był Paryż.

Po dwóch minutach byliśmy na ulicy.

– Ja idę ulicą Vaugirard – powiedział człowiek w meloniku.

– A ja muszę do metra przy Montparnassie – powiedziałem i uniosłem kapelusz. – Było mi bardzo miło poznać Pana.

– Możliwe, że się jeszcze kiedyś zobaczymy – odpowiedział.

Zrozumiałem, że nie chciał, aby nasza znajomość była dłuższa niż krótki jesienny dzień.

Przypomniałem sobie to, co mówił o przyjaźni: „...A przyjaźń — to najbardziej ludzkie uczucie”...

– Całkiem możliwe – powiedziałem. – Do widzenia.

– Żegnam Pana.

I szybko poszedł w kierunku ulicy Vaugirard, przecinając biegnący w dół szeroki prospekt, po którym pędziły samochody.

Otoczył mnie strumień gorącego powietrza i stałem się tylko cząstką ludzkiego potoku, który szybko pochłonął kamienny przelyk metra.

*Grudzień 1943 r.*

*– Styczeń 1944 r.*

*Z rosyjskiego przełożył Grzegorz Ojcewicz*